

W centralnej części malowniczo położonego miejskiego parku stała sobie ławka. Wijąca się wzdłuż sadzawek i schludnie przyciętych krzaczków alejka była prawie pusta, co świadczyć mogło o dość wczesnej porze dnia. Zanim szczebiot dzieciarni i kłótnie starszyny zagoszczą wśród miejskich drzew, pocziwa i wysłużona ławka będzie świadkiem niecodziennej sceny. Otóż z jednego końca parku, z wystającą z kieszeni połatanych spodni niedopitą butelką jakiegoś podejrzanego trunku, wynurzył się żul. Podpuchnięte oczy i kilkudniowy zarost wręcz idealnie korespondowały z odorem skisłej kapusty, który niczym aura otaczał amatora rannej wypitki. Z drugiej strony alejki, majestatycznie dzierżąc w dłoni smycz, kroczyła dama z pieskiem. Jej towarzysz przechadzki wydawał się zadowolony z prowadzonej konwersacji, patrząc z dumą na rozpościerający się wokół świat dwunożnych. Przedstawiciele drepzczących ku sobie jakże dwóch skrajnych światów mieli wspólny cel. Oboje zdążali ku stojącej w cieniu drzewa i zapraszającej do spoczynku ławki. Jakieś kilkanaście metrów od celu spaceru ich myśli zaczęły przybierać realny kształt.

Znów ci pijacy – zauważyła dama z pieskiem.

Znów te damulki – przemknęło przez głowę żula.

Jak na komendę przyśpieszyli kroku, chcąc zaanektować parkowy sprzęt na własność. W tym swoistym wyścigu zarówno żul, jak i dama z pieskiem nie zwrócili uwagi, że ławka była już zajęta. Co prawda nikt na niej jeszcze nie siedział, ale w tę i z powrotem drepiała tam pewna pani. Okazało się, że pani była akurat w pracy, a rzeczona ławka stanowiła niezbędny rekwizyt, jakże potrzebny do dopełnienia określonego w tej branży wizerunku. I znów, aby niedomówieniom położyć kres, myśli musiały się zmaterializować.

– Spieprzaj, dziadu! – grzecznie zauważyła pani lekkich obyczajów.

- Wal się, lala! – równie grzecznie skonstatował żul.
- Ależ drodzy państwo, cóż to za język! To skandal, aby w miejscu publicznym dochodziło do takich scen! – zaoponowała dama z pieskiem.
- To moja ławka – przerwał żul. – Siedzę tu codziennie.
- A ja to co? Dla przyjemności tu przychodzę? – wyrwało się pani od usług. – Nawet nie zdajecie sobie sprawy, ilu muszę złapać klientów, aby zarobić na ciuchy i kosmetyki.
- Bój się Boga, dziewczyno! – przerwała dama z nadstawiającym uszy pieskiem. – Chcesz powiedzieć, że ty... .
- A co – triumfował żul – damulka myślała, że park to Wersal? Niech się tylko trochę ściemni.

W tej zapalczywości nikt z trójki bohaterów nie zwrócił uwagi, że kompromisy często wypracowuje się nieświadomie. I w ten sposób nasza dyżurna ławka, jak za dotknięciem jakiejś czarodziej-skiej różdżki, zapełniła się. Zanim jednak cała trójka rzuci się w wir ostrych dysput, zanim zbierze myśli do przechylenia szali argumentów na własną stronę, każdy z osobna postanowił zająć się swymi ulubionymi i wykonywanymi często bezwiednie czynnościami. Żul pociągnął trzy potężne łyki z brudnej butelki i skrzywił się z niesmakiem. Dama głaskała kapelusz i prowadziła w myślach dialog z czworonogiem, a pani lekkich obyczajów poprawiała makijaż, robiąc seksowne miny do lusterka.

– Gdy chodziłam do szkoły to byłam dumna, że siedziałam w pierwszej ławce. Dzisiaj mogę śmiało każdemu spojrzeć w oczy, bo edukacja nie poszła na marne. Jak sądzę, u was była to raczej ośła ławka.

- Może i ośła, ale za to nie przed wojną – odciął się żul.
- A ja to długo w ławce nie siedziałam. Musiałam wcześniej iść do pracy.
- I nie była to praca umysłowa – znów posłużył się ironią żul, pociągając kolejny potężny łyk.

Dalsze złośliwości i docinki wywoływały u spoczywających na ławce coraz mniejsze wrażenie. Wypracowano jakiś consensus, dzięki któremu rozmowa zaczęła się kleić. Mimo iż różnice światopoglądowe i obyczajowe nie pozwalały na zadzierzgnięcie bliższych

stosunków, u całej trójki dało się zauważyć wątłą nić sympatii. Wyglądało to tak, jakby ławka w parku miała jakąś magiczną moc. Skostniałe zasady i jednowymiarowe spojrzenie na świat zaczęły rozpluwać się jak poranna mgła. I tylko piesek damy zaczął się dziwnie kręcić, czując jakimś szóstym zmysłem tę dziwną ludzką metamorfozę.

– Babcia opowiadała mi, że przed wojną było tu inaczej. Nie mówię, że ludzie nie pili czy się nie pusz... , pardon, chciałam powiedzieć, nie spotykali się. Wokół panowała inna atmosfera. W krynolinowych kreacjach matron i w zwiewnych koronkach podlotków czaił się jakiś diablik, który przyspieszał bicie męskich serc. A mężczyźni, proszę państwa! Zapach markowych wód kolońskich doskonale pasował do świetnie skrojonych garniturów. Aż oczy niewiast świeciły się jak brylanty.

– A ja tam wołę swoje drelichy. Są spoko, bo się nie gniotą. Jak człowiek ma ochotę na drzemkę pod krzaczkiem, to nie musi ich prasować. A i z praniem nie trzeba się certolić. Ciemne są, niewiele widać brudu.

– Czy mógłby pan nie przerywać? Ech, rozmarzyłam się, gdy tak pani pięknie opowiadała o tych mężczyznach w garniturach. Gdzie oni są? Dzisiaj można tylko spotkać jakiegoś lachmaniarza albo co najwyżej napalonego, za to gołego jak święty turecki gówniarza.

– Jeśli pijesz, laluniu, do mnie, to trafiłaś kulą w płot. Co prawda nadziany nie jestem, ale za to młody, chociaż wcale nie napalony. Mam lepszy gust.

– Cham! – oburzyła się panienka, ostentacyjnie odwracając się do żuła plecami.

– Ależ proszę państwa! Tak nie można. Więcej szacunku, a ten świat naprawdę będzie lepszy.

– Tak? A przed chwilą damulka dawała do zrozumienia, że jestem pijak!

– No właśnie, a ja, że niby się źle prowadzę – oburzyła się dziewczyna.

– No cóż, piesku, widzę, że nic tu po nas. Człowiek chciałby dać ludziom trochę otuchy, a tu taka nagroda.

– No dobra, może z tą damulką trochę przesadziłem. Niech pani jeszcze trochę posiedzi. Czasami trzeba sobie pogadać. Samym piciem człowiek nie pożyje – zaśmiał się żul ze swego wątpliwej jakości dowcipu.

– Niech pani zostanie. Chciałabym posłuchać o tym dawnym świecie. Wtedy musiało być o wiele bardziej romantycznie niż dziś.

– No dobrze, posiedzę jeszcze, ale pod warunkiem, że nie będziecie się kłócić. Opowiem wam historię mojego dzieciństwa. To nie był świat mojej babci, ale mój dawny świat to też już historia. Żyło się wtedy biedniej, lecz za to wolniej niż dziś. Człowiek miał czas na jakąś refleksję, na zastanowienie się nad przemijaniem i całą tą filozofią wyższego rzędu.

★ ★ ★

Świdrujące spojrzenie pierwszego sekretarza sparaliżowało Jadzię do tego stopnia, że ta nie potrafiła wykrztusić z gardła żadnego słowa. Towarzysz „Wiesław” w swych lennonowskich druciakach oczekiwał na odpowiedź, jakby od tego zależała przyszłość młodego PRL-owskiego państwa. Czarno-biała fotografia wodza uśmiechała się filuternie, paraliżując i przywodząc Jadzię do płaczu.

– No kto jest I sekretarzem partii, ty ośle dardanelski – wyżywała się pani od polskiego. – Słowo daję, że nie przepuszczę cię do następnej klasy!

Jadzia ze łzami w oczach wyciągnęła przed siebie drobne ramię i wskazała palcem w kierunku wiszącego nad tablicą portretu. Drgająca ręka niebezpiecznie wydłużyła się niczym monstrualnej wielkości wskaźnik, dotykając czubka nosa pierwszego sekretarza. Głowa z portretu jakby czekała na tę chwilę i z ekstazą otworzyła usta, chcąc odgryźć dziewczynce wytknięty palec. Jadzia momentalnie cofnęła rękę i zamknęła ze strachem oczy. Trzymany w ręce polonistki wskaźnik niebezpiecznie pogładził bark niesfornej uczennicy.

– Nie masz języka w gębie?

– Mam, to jest towarzysz Władysław Gomułka.

– No właśnie! Słyszycie, osły dardanelskie! To jest towarzysz pierwszy sekretarz PZPR. To On wytycza szlak ku świetlanej przyszłości. To On walczy z całym imperialistycznym złem tego świata. I to ON zapewnia nam pokój i dobrobyt, jakiego klasa robotnicza przed wojną nie miała. A teraz wszyscy wstańmy i zaśpiewajmy nasz hymn!

„Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy...” – trzydzieścioro czworo dzieci zaintonowało pieśń, wpatrując się w portrety czołowych inżynierów ich życia. Niestety, paraliżujący strach przed gniewem pani spowodował kompletny blamaż. Dzieci, ku wielkiemu oburzeniu pani polonistki, zakończyły swe artystyczne popisy już na początku drugiej zwrotki. Furia, z jaką natarła na krnąbrnych uczniów nauczycielka, poszybowała po klasie, odbijając się od okien, tablicy i markotnych w tej chwili twarzy w ramkach.

– Na jutro nauczycie się na pamięć wszystkich zwrotek polskiego hymnu. Przepytam każdego i biada temu, kto nie będzie przygotowany!

Korytarze „budy” wypełniły się gwarem. Dzieciarnia biegła po lastrykowych posadzkach, czując się wyzwolona niczym mustangi na prerii. Nagromadzony na lekcjach stres trzeba było z siebie wyrzucić. Inaczej groziło to ciężką depresją. Jadzia dalej była markotna. Snuła się wzdłuż korytarza, starając się dobrnąć wreszcie do wychodzących na szkolny dziedziniec drzwi. Koledzy podśmiewali się z niej, bo lży są przecież efektem słabości. Trzeba być silnym, jak chłopaki z drużyny Timura.

Jaś był silny nie tylko psychicznie, ale również na pięści. Żadne lży, nawet jeśli został porządnie obsztorcowany przez panią czy zaliczył ocenę niedostateczną, nie mogły go zmiękczyć. Jak coś sobie postanowił, to nie było takiej siły, aby ktoś mógł mu w zamiarach przeszkodzić. W tej chwili Jaś miał jeden cel. Musiał dopaść tę głupią Jadzię i porządnie naciągnąć jej warkocze. „A co, niech głupia wie, że my jesteśmy chłopaki od Timura”. Stojącej ze spuszczoną głową pod szkolnym murem Jadzi nie trzeba było gonić. Dziewczynka zdawała się być nieobecna duchem. Jej zamglone od łez oczy świdrowały żwir wokół butów, jakby wypatrywały w tej nieskładnej geometrii kamyków jakichś prawidłowości. „Chyba wię-

cej do szkoły nie przyjdę. Nie lubią mnie tu”. Stojący przed nią i wykrzykujący obelżywe słowa chłopiec był w tej chwili tak samo nieobecny, jak błędzące po zakamarkach duszy jej myśli. „Tak, nie pójdę więcej do szkoły” – złowroga myśl przebiegła przez głowę Jadzi.

Chichot kompanów Jasia przywrócił ją do rzeczywistości. Spod długich rzęs spojrzały na chłopaków wielkie, brązowe oczy. Zdziwienie na twarzy Jadzi zmieszało agresorów do tego stopnia, że ci w jednej chwili zamilkli.

– Przepraszam, nie słyszałam, co do mnie mówiliście. Ale dziękuję wam, że próbujecie mnie pocieszać. Nie przyjdę więcej do tej szkoły.

– No co ty, nie wygłupiaj się. My tylko żartowaliśmy. Wcale nie chcemy, żebyś nie chodziła do szkoły, nie, chłopaki?

Konsternacja w głosie Jasia była nad wyraz widoczna. Chłopiec po raz pierwszy poczuł w sobie odrobinę zażenowania. Czuł się tak, jakby oszukał przyjaciela z paczki. A przecież pewnych rzeczy wśród swoich się nie robi. W wyrazie twarzy zaczepianej dziewczynki dało się zauważyć jakąś zmianę. Jaś ze zdziwieniem spostrzegł, że ta „prymuska”, jak ją w duchu przezywał, wcale nie jest taką zołą. Wręcz przeciwnie, ten uśmiech, a nawet te długie warkocze zupełnie zbiły go z pantałyku. Nie znał jeszcze dziewczynek od takiej strony. Kto wie, może nadawałaby się do tej łobuzerskiej paczki, jaką tworzył z kilkoma jeszcze niesfornymi kolegami?

★ ★ ★

Rynek miasteczka tętnił życiem. Już od świtu pod kościelną wieżą ustawiały się furmanki z płodami rolnymi. Przekupki rozkładały prowizoryczne stoliki, na których lada chwila zaczną uśmiechać się do wszystkich chętnych rumiane jabłka, porcje wymytych warzyw czy poukładane w koszyczkach jajka. W groteskowych pozach wiejskich handlarek dało się zauważyć przemożną chęć zahipnotyzowania potencjalnego klienta, aby ten nabywał tylko skarby zgromadzone na ich wozach. Wśród tłumu majestatycznie prze-

chadzał się pan dzielnicowy, wypatrując swym bystrym wzrokiem naciągaczy i kieszonkowców. Największą frajdę miała jednak pałę-tająca się koło stoisk dzieciarnia. Między kolorowymi szmatkami i pachnącymi warzywami przemykały rozczapierzone na wietrze czupryny chłopaków. Sprytnie drobne ręce wybierały najdorodniejsze owoce i chowały je pod wytarte i pocerowane swetry. Cotygodniowy zjazd kupców i rolników był rajem dla tych drobnych złodziejasków. Zapotrzebowanie organizmu ludzkiego na witaminy jest niezależne od epoki, więc trzeba było sobie jakoś radzić. W ten sposób odciążało się domowy budżet, w którym dziury stanowiły główną część. Nie żyło się lekko za towarzysza „Wiesia”, o czym najdobitniej krzyczała napaćkana na jednym z pozamiej-skich drogowskazów mądrość: „przyjeżdżaj Hitlerze na rowerze, bo nam Gomulka wszystko zabierze”. Obrońcy nowego ładu byli jednak czujni. Napis trwał sobie w błogiej nieświadomości tylko jeden dzień. Nazajutrz sprawiedliwa ręka władzy wymazała urą-gający rzeczywistości tekścik. Zaczęło się żmudne śledztwo, dążące do wyłapania dywersyjnej siatki imperialistycznej agenty.

★ ★ ★

W domu Jadzi panował nieskazitelny ład. Równiutko poukładane na półkach woluminy zachęcały do lektury. Porcelanowe figurki stały nieruchomo obok książek, jakby ich treść zahipnotyzowała te wszystkie pieski, kotki i słoniki na dobre. W rogu witrzynki spoglądała biała figurka Matki Boskiej, opleciona dla kontrastu czarnym różańcem. Kolory dewocjonaliów nie zaprzętały jednak uwagi potencjalnego widza, lecz poupychane niedbale partyjne broszury, stanowiące wtedy obowiązkową lekturę ojca Jadzi. Ten dobrze zapowiadający się działacz komitetu zakładowego największej w mieście fabryki porcelany miał jednak pewne wady. Skrzątnie ukrywaną skazą na nieskazitelnym życiorysie aktywisty były nietypowe zainteresowania, które jeszcze kilka lat temu mogły być powodem końca kariery. Tato Jadzi miał bzika na punkcie tzw. muzycznego jazgotu, czyli tak wyszydzanego przez partyjny aktyw kapitalistycznego zdziczenia. Uwielbiał bowiem rock & rol-

la. Z trzeszczącego radia „Sonatina”, pozostałości po niemieckich okupantach, płynęły takty przeboju *Love me do*, wywołując w skulonym przy głośniku słuchaczu konwulsyjne drgania. Szmerystacji Luksemburg wcale nie przeszkadzały amatorowi młodzieżowych rytmów, bo nie mogły. Żadnej innej alternatywy w tym proletariackim świecie nie można było uświadczyc. Patriotyczne pieśni, ludowa twórczość, a nawet raczkujący rodzimy bigbit nie ładowały ojcu Jadzi akumulatorów do wdrażania w życie socjalistycznej ideologii tak bardzo, jak słynna czwórka z Liverpoolu. Praca u podstaw miała więc angielskie, czyli imperialistyczne korzenie. I tak nieświadome, naznaczone obcymi miazmatami, kształtowało się nowe pokolenie, które miało dać upust swej kontestacji podczas słynnej Wiosny Ludów A.D. 1968 r.

★ ★ ★

Na dnie butelki pozostał osad. Żuł wejrzał ze strachem przez szyjkę do wnętrza flaszki i wybałuszył oczy w stronę damy z pieskiem.

– No i gdzie ta ciekawa historia? Przez panią skończyło mi się wino! Żeby chociaż ten Jaśko cię poderwał, a tu tylko jakieś smętne kawałki z dziewczynką.

– Oj, ty zaraz chciałbyś słuchać o jakimś erotyzmie – odfuknęła panienka.

– A ty co, niby jakaś święta? Zdaje się, że to panienka jest w tej branży specjalistką – z sarkazmem w głosie wygłosił swą perorę żuł.

– A obiecywaliście, że się nie będziecie klócić! – dama z pieskiem traciła cierpliwość. – Przecież muszę wam przedstawić najpierw tło historyczne, abyście zrozumieli, na czym polegał heroizm tamtych czasów.

– No dobra, zanim pokaże pani ten heroizm, ja skoczę po wino. Tylko niech pani nie ucieka. Znudziło mi się już picie w pojedynkę.

★ ★ ★

Mimo zawirowań politycznych i krachu domowych portfe-



li dzieciństwo dostarczyło nam wielu wrażeń. Wychowani na „Świerszczyku” i „Płomyczku”, a potem na młodzieżowym „Zarzewiu”, chłonęliśmy kulturę niczym świeże bułeczki. Brak telewizorów w większości domostw rekompensowało nam radio, które poza dwoma polskimi programami oferowało – tak namiętnie słuchaną przez moją tatę – słynną muzyczną stację z Luksemburga. To dzięki falom eteru rodziło się w nas zamiłowanie do rock & rolla, którego uosobieniem był słynny zespół The Beatles. Nie wszyscy jednak mieli na tyle dobre radioodbiorniki, by móc doświadczać radosnych chwil płynących z głośników. Do dziś pamiętam, jak biegaliśmy do zakładu fryzjerskiego pana Kaczmarka, w którego gościnnych wnętrzach można było posłuchać naszego ulubionego poznańskiego programu „Grająca szafa”. To w tej audycji mieliśmy okazję usłyszeć po raz pierwszy najnowszy utwór słynnych Beatlesów pt. *Eleonor Rigby*, co ukształtowało naszą muzyczną wrażliwość na całe lata. Mieliśmy szczęście dorastać z całą plejadą koryfeuszy muzyki rockowej, której starsze pokolenie nie mogło strawić, nazywając ją dzikim wrzaskiem, a wykonawców szatanami w ludzkiej skórze. W tej pokoleniowej walce musieli zwyciężyć młodzi, bo racja i postęp były po ich stronie. Trudno jednak powiedzieć, po której stronie była starsza część społeczeństwa, gdy latem 1968 r. ulicami naszego miasta przejeżdżała kawalkada radzieckich wojsk, zdążająca z interwencją do bratniej Czechosłowacji. Dla nas, dzieciaków, była to wielka frajda. Stojąc na skraju chodnika, witaliśmy kolumny wozów pancernych z czerwoną gwiazdą i samochodów wyładowanych najprzeróżniejszym wojskowym sprzętem. Spod plandek ciężarówek dobywał się chóralny śpiew czerwonoarmistów, który doskonale współgrał z przytupem naszych butów. Cieszyliśmy się wtedy, że Ruskie jadą na wojnę bić Szkopów i tylko patrzeć, jak lada chwila do wojny przystąpi Polska. Wycięte w pobliskiej stolarni karabiny chłopaków już się grzały, bo patriotyczny duch siedział w nas tak mocno, jak zaprzyjaźniona Armia Radziecka pod Szczecinkiem. Pokolenie naszych rodziców nie miało jednak wesołej miny. Wśród starszyny dało się słyszeć wiejące grozą opowieści. Tworzono jakies kończące się tragicznie scenariusze. Nas jednak niewiele obchodziły lamenty starszych. Wszak

dzieciństwo ma się tylko raz. I wykorzystywała dzieciarnia swoją młodość aż do bólu, wszczynając brewerie, psoty i figle.



Prym wśród ferajny wiódł Jaś. Ten niewielkiej postury chłopak miał w sobie tyle energii, że wystarczyłoby jej dla całej paczki. Brak postępów w nauce wcale nie był przeszkodą do wymądrzania się. On i tak wiedział więcej niż inni, bo był wyszczekany niczym znieawidzona przez całą klasę pani od polskiego. Rodzice Jasia nie przejmowali się jednak jego cenzurką. Sami musieli brać się ostro za bary z życiem. Na razie triumfowała brutalna egzystencja, powodując szybkie wkraczanie w dorosłość pozostawionego samopas dziecka. Chłopak wiedział, jak sobie radzić. Drobnie monety zawsze brzęczały w kieszeni Jasia, bo co jak co, ale zaradność miał w genach. A to sprzedawało się w skupie parę butelek, a to opędzowało się z kilku ogrodów trochę owoców, sprzedając je w pobliskim straganie, to w końcu podwędziło się jakieś pozostałe po pijackiej bibie grosze z ojcowskiej kieszeni i jakoś się żyło. Mógł więc Jaś zaimponować kolegom, którzy w tym względzie takich zdolności nie przejawiali.

Przyjmowanie nowych członków do „bandy” wyglądało jak wielki rytuał. Nie każdy mógł przejść próbę ognia czy wody, bo wyciągnąć z ogniska pieczonego ziemniaka czy wsadzić głowę do wiaderka z brudną cieczą było heroizmem godnym wielkiego wojownika. Trudno więc było wdrzeć się do tej paczki nawet odważnym chłopakom, a co dopiero jakiejś dziewczynie. Chrzt Jadzi nie wyglądał jednak tak groźnie, jakby się można było tego spodziewać. Dziewczynce darowano ekstremalne próby z ogniskiem i wodą, w czym największy udział miał Jaś. Chłopak dziwnie reagował na obecność Jadzi, czując jakiś niewytłumaczalny dreszcz emocji. Skończyło się zatem tylko na przysiędze, bo od niej zależało ponoć bezpieczeństwo całej grupy.

„...i że nie zdradzę nikogo nawet na MO” – zakończyła rolę Jadzia. Uniesione do góry dwa palce trwały jeszcze w tej pozycji parę chwil, stanowiąc dowód na szczerłość przysiężenia. W tej gro-